



Powiedziano kiedyś, że dla każdej chwili triumfu, dla każdego wystąpienia piękna, wiele dusz musi być gwałconych. Jak wiele zła musiało się więc stać, by prawdopodobnie największa manifestacja piękna jaką wzniósł człowiek mogła ujrzeć światło dzienne? Tysiące, może setki? Nikt tego przecież nie liczył, wszak gdy szlachta bawi kosztą nie mają większego znaczenia. Ktoś skory do egzaltacji powiedziałby w zadumie „jakie to romantyczne”, ktoś inny - nieco pewniej stąpający po ziemi zakrzyknął by zadziornie „toż to nieludzkie!” Nie zwykłem oceniać. Każdy, myślę, miałby sporo racji. Wystarczy spytać jaką cenę zapłacilibyście Wy, drodzy czytelnicy, aby ślad Waszej miłości przetrwał wieki? Co i kogo gotowi bylibyście poświęcić?

Osobę, która odpowie inaczej niż „wszystko” lub stwierdzi, że posiada coś cenniejszego od miłości chętnie spotkam. I gromko wyśmieję.

Bez obaw jednak, nie takie myśli zaprzętały nam głowy, gdy w pełnym słońcu, które zdawało się przypalać nam czupryny, stłoczeni w riksach przemierzaliśmy wąskie uliczki dzielnicy zwanej (wnoszę, że z powodu sąsiedztwa Taj Mahalu) Taj Ganj. Hotel, którego nazwę skutecznie wyerodowała z mojej pamięci skleroza, mieścił się w samym środku rzeczonyj wyżej dzielnicy i od wejścia do najbardziej znanego zabytku świata dzieliło nas dosłownie sto metrów - to jest dwie minutki spaceru. Warunki, standardowo już, nadszpiewanie dobre. W moim osobistym pokoju po kilku operacjach z pogranicza mechaniki i elektryki udało się nawet uruchomić klimatyzację, słowem : cud miód i orzeszki. Gdy dodać do tego jeszcze knajpę umiejscowioną w najbliższym sąsiedztwie, która za sumę dwudziestu pięciu rupii (dla niewiedzących: mniej więcej półtorej złotówki) oferowała obfity sagan, pełen ryżu, placków zwanych po tutejszemu ciapati, soczewicy z sosem zwanej dal, gotowanych warzyw z tym samym sosem zwanych nijak, oraz czegoś wyglądającego i smakującego jak kefir na co tutejsi wołają kurd. Całe to dziwaczne, choć całkiem smaczne i sycące, danie nazywają tutaj tali i jego cena oscyluje przeważnie w okolicach stu rupii. Tego typu uczta to miód na nasze niezłe nadwyreżone portfele. A trzeba wiedzieć, że oszczędzają wszyscy, już to dlatego, że zwyczajnie nie mają, inni ? ci majątniejsi starają się powrócić do domu z jak największym kapitałem. Tak czy inaczej akcja Wielkiego Cięcia Kosztów ruszyła pełną parą.

Dzień pierwszy, jak z powyższego opisu niektórzy może zdążyli już wywnioskować, upłynął nam na zapoznaniu się z naszą dzielnicą na własną rękę. Ów miły gest ze strony pt. Szefostwa pozwolił na złapanie oddechu przed tym co „zupełnie niespodziewanie” miało nas spotkać w ciągu najbliższych dwóch dni.

Następny poranek, jak się rzekło, obfitował w niespodzianki. Przede wszystkim, stan osobowy naszej wyprawy, albo może już korpusu ekspedycyjnego, powiększył się o dodatkowe cztery osoby. Dwóch absolwentów i dwoje spotkanych przypadkowo Polaków którym zwyczajnie było z nami nie dość, że wygodnie to jeszcze po drodze.

Jako ludzie, kulturalni, przyjacielscy i skorzy do niekontrolowanego eksplodowania feeriami gościnności zaprosiliśmy ich ma się rozumieć do komitywy. Zaproszenie zostało przyjęte, więc bogatsi o cztery nowe dusze ruszyliśmy terenówkami (jakże krzywdzące dla tej całkiem niezłej marki jest nazywanie ich wszystkich Jeepami) do odległej o trzydzieści kilometrów Deeg - byłego pałacu mogolskich cesarzy.



I tu zaczęła się przygoda.

Opony pięciu zapakowanych po brzegi terenowych toyot zachrzęściły na rozgrzanym do czerwoności ulicznym żwirze. Droga prowadząca do bram cesarskiego pałacu była duszna i gwarna. Grupa ruszyła leniwie przed siebie. Naprędce wypatrzony cień sprawiał delikatną, acz wyraźną ulgę. Orzeźwiał. Oczekując na wejściówki wszyscy zwiesili ospale głowy. Gdy je podnieśli ujrzeni tłum.

Brzmi jak początek powieści sensacyjnej dziejącej się na bliskim wschodzie, albo scenariusz kolejnej części „Resident Evil” lecz, niestety, zdarzyło się naprawdę i było mniej przyjemne niż początkowo mogłoby się wydawać. Trafiliśmy byli akurat nieszczęśliwie na dzień targowy, w którym to ze wszystkich okolicznych wiosek zjechała się czereda różnego rodzaju mniej lub bardziej nieświadomych ludzi. Dla większości z nich ujrzenie białego człowieka jest niebywałą atrakcją, trzydziestoosobowa grupa to już pełne szaleństwo.

W dosłownym znaczeniu tego słowa.

Okrażeni tłumem cykających nam zdjęcia hindusów czuliśmy się początkowo jak gwiazdy na Oskarowej gali albo drużyna Realu Madryt, Barcelony czy innego Manchesteru na meczu wyjazdowym. Fakt pozostaje faktem - ze zwiedzania były nici, a my nawet wewnątrz pałacu, musieliśmy się zmagać z rozdzierającym uszy hukiem wiwatów i setkami (dosłownie!) gapiów przyklejonych niczym glonojady do szyb. Gdy tłum stężał do naprawdę okazałych rozmiarów, dyrektor przytomnie zarządził odwrót, który początkowo nie wydawał się zwiastować czegoś niedobrego. Zaczęło się nagle. Ktoś kogoś popchnął, ktoś inny się przewrócił, reszta zaczęła uciekać przed wyrosłą spod ziemi policją. I wtedy wpadli na nas.

Trzeba nam wiedzieć, że biała kobieta to w tych stronach rarytas przewyższający nawet samochody marki Ferrari, garnitury Armaniego czy zegarkiem Rolexa. Dodajmy do tego dość tradycyjne obyczaje ograniczające mocno wszelkiego rodzaju kontakty damsko - męskie i szeroko rozumianą seksualność i wyłoni nam się pełny obraz sytuacji. Zaczęli nas zwyczajnie macać. Nie bez powodu napisałem „nas”, gdyż ja sam, a konkretnie miejsce, którym plecy tracą swoją szlachetną nazwę, zapoznałem się z czyimś brutalnym chwytem. Odpowiedziałem ma się rozumieć równie brutalnym kopniakiem po czym w trybie przyspieszonym udałem się do samochodu. Dziewczyny niestety nie miały tak łatwo. Poszkodowane relacjonują, że gdyby nie nasze (to jest: męskie) interwencje to setki cholernie pożądlivych łap rozdarłoby im spodnie na kawałki.

Dalszego scenariusza wolałbym sobie nawet nie wyobrażać. Szczęściem w nieszczęściu jest fakt, że hindusi to prawdopodobnie najbardziej pokojowy naród na świecie i zwyczajnie nie bywają agresywni. Gdyby byli to setki, jeśli nie więcej, osób mogłoby nas po prostu stratować. Nikt jednak stratowany nie został i wszyscy bez najmniejszego draśnięcia zapakowaliśmy się do samochodów i czym prędzej odjechaliśmy w dalszą, mieliśmy nadzieję, że lepszą, drogę.

Prowadziła ona do Fatepur Sikri - miejsca, w którym Mogołowie planowali utworzyć stolicę swojego imperium. Stolica, co ciekawe, umarła śmiercią naturalną gdyż wzniesiono ją w



nieźle warownym miejscu o niewątpliwych walorach estetycznych, za to zupełnie pozbawionym jakichkolwiek źródeł wody. Ten kto powiedział, że w Indiach możliwe jest wszystko był oczywiście w błędzie, stolica po czternastu latach pełnienia swojej zaszczytnej funkcji zwyczajnie uschła jak niepodlewana róża.

I tak samo jak ona, pięknie wygląda po śmierci.

Z Fatepur Sikri ostał się oczywiście pałac, który znawcy uznają za jedno z najpiękniejszych miejsc w Indiach, oraz olbrzymi meczet w którym pochowano doczesne szczątki IMIĘ, jednego z czołowych muzułmańskich świętych. Meczet ów, mogący szczycić się najwyższą, bo liczącą ok. pięćdziesiąt metrów, bramą jest do dziś miejscem kultu. Jako ciekawostkę można dodać, że jest on rzekomo zbudowany dokładnie na wzór świątyni w Mekce, lecz wszyscy którzy widzieli obydwie zgodnie twierdzą : za nic cholera nie są podobne.

Tak też, w pełny przygód sposób jak z bicza strzelił nam dzień drugi.

Dzień Trzeci zagrano nam w dwóch aktach, porannym gdzie odwiedzaliśmy czerwony fort i popołudniowym, w którym główną rolę zagrał Taj Mahal w całej swojej okazałej śnieżnobiałej osobie.

Jak się rzekło, rankiem w potwornym, wysysającym życie słońcu wywieziono nas do czerwonego fortu - miejsca, w którym Szahdżahan i jego sukcesorzy sprawowali byli władzę nad swym rozległym imperium. Fort jak sama nazwa wskazuje oprócz monumentalnych murów i kilku ciekawych zakamarków niewiele miał nam do zaoferowania, gdyby nie jeden, drobny szczegół to ośmielę się stwierdzić, że można by go było podczas zwiedzania Agry w ogóle pominąć. Tym drobnym szczegółem jest cudowny i monumentalny widok na skrzący się w słońcu Taj Mahal. Widok tej budowli zapiera dech z każdej strony, ale obserwowanie go z tarasu od strony rzeki, w pełni świadomy tego, że już za niedługą chwilę samemu się tam znajdzie dawał nam dodatkowych emocji.

A pod Tajem kolejka. Nie bardzo pokaźna, wszak wchodziliśmy w godzinach popołudniowych, to jest wtedy gdy ruch turystyczny mocno spada, więc oczekiwanie na wejście nie zajęło nam wieczności. Jeszcze tylko szybka kontrola toreb i naszym oczom ukazał się cudowny widok na?

Nie, jeszcze nie na główną personę dramatu lecz, na prawdopodobnie najbardziej niedoceniany zabytek w historii czyli bramę do ogrodu, w którym mieści się Taj. Cel całej konstrukcji jest jeden: przez jak najdłuższy czas zasłaniać główną ozdobę, tak by odwiedzający dopiero w ostatniej chwili został uderzony jej zachwycającym pięknem.

Jak wygląda Taj wie chyba każdy, nikt jednak kto nie zobaczył go na żywo nie ma najmniejszego prawa wypowiadać się na temat jego wyglądu. To trochę tak, jak z nie przymierzając seksem, można obejrzeć setki materiałów pomocniczych w postaci zdjęć czy filmów instruktorzowych, co jednak nijak ma się do prawdziwego *acto in orgasmo*.

Pierwsze wrażenie? Taj podziałał na mnie tak, jak Mike Tyson na Andrzeja Gołotę ? leżałem



zanim zdążyłem się zorientować co gdzie i jak. Perfekcyjna symetria ogrodów przedzielonych pasem fontann skupia wzrok obserwatora w jednym miejscu, drzewa i krzewy niczym wielkie strzałki prowadzą w samo centrum, dokładnie tam, gdzie oczekiwany przez wszystkich piękny Taj mieni się złotem w mocnych promieniach słońca, perfekcyjnie jak na obrazie, komponując się z czystym błękitem nieba. Siedząc pod rozłożystym drzewem i obserwując z pewnej odległości ma się wrażenie, że cała monumentalna budowla zostanie, niczym piórko, zdmuchnięta przy najlżejszym podmuchu wiatru. Taj jest lekki choć postawny, ani wysoki, ani niski, zdobiony dokładnie na tyle ile wymaga tego dobry gust, odpowiednio okrągły i równocześnie stosownie kanciasty – po prostu doskonały.

Siedząc tak i rozważając krzywizny można między perfekcją kształtów dostrzec nieśmiało przemykającego się Boga, który nie zwracając niczyjej uwagi po prostu jest. I z rzadka, może raz na milion lat natycha ludzi, by choć raz sami stworzyli cud.

I ten cud nam się udał.

Musisz tu przyjechać, samemu zobaczyć i dać się pochłonąć, ja w niczym tu nie pomogę – zaciemnię tylko obraz. Niektórych rzeczy nie da się opowiedzieć, a brak słów to najlepszy opis?

I tyle. Naprawdę, dnia następnego mieliśmy już tylko krótki, luksusowy przejazd do Delhi.